



Diabeł, który ubiera się
u Prady, mieszka
w Szóstej Dzielnicy

Lekcje francuskiego

HILARY REYL

Rozdział pierwszy

Podobno mówię bez akcentu, a to prawdziwy dar. Czasem ktoś słyszy w moim głosie śpiewną intonację i zastanawia się, z których stron Francji pochodzę, lub myśli, że przyjechałam ze Skandynawii. Ale nikt się nie domyśla, że jestem Amerykanką. A ponieważ nie jestem Francuzką, nie mam żadnych śladów przynależności do jakiejś grupy czy klasy społecznej. W Paryżu jestem w zasadzie przezroczysta. Być może to dar. *Un don*, jak to się mówi, *voilà*. Lecz gdy człowiek ma poczucie, że jest przezroczysty, może wpaść w niekończące się tarapaty.

Moje tarapaty zaczęły się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, w pewien mokry sobotni poranek na lotnisku de Gaulle'a, kiedy postanowiłam zaszaleć i pojechać do miasta taksówką. Zapach skórzanych obić i tytoniu dodał mi otuchy. Stojąc na krawędzi nieznanego, łaknęłam takiej właśnie mieszanki zapachów.

Ale nie powinnam brać taksówki. Mama twierdziła, że łatwiej stracić życie w drodze na lotnisko albo jadąc z lotniska niż na pokładzie samolotu. Jednak na lądzie mamy zdecydowanie więcej do powiedzenia w sprawie tego, jak nasza podróż ma się odbyć. Można wybrać samochód, autobus albo metro. Można zwolnić, spojrzeć na prawo i lewo albo popatrzeć za siebie. Na lądzie człowiek jest za siebie odpowiedzialny. A w powietrzu może się tylko martwić, lecz i tak niczego to nie zmieni.

Niedawno ukończyłam college i starałam się ignorować większość tego, co mówiła mama. W duchu byłam jednak z niej dumna, więc gdy mój samolot leciał do Paryża, usiłowałam być tak twarda jak ona i nie rozczulać się nad sobą.

Kierowca spytał, skąd wracam. Gdzie spędziłam moje *vacances*.

Odparłam, że nie miałam żadnych wakacji. Przez całe lato byłam kelnerką w New Haven. To miasto na Wschodnim Wybrzeżu, niedaleko Nowego Jorku.

Och, Nowy Jork!

Do Paryża wracałam po raz pierwszy od dziesięciu lat. Nie byłam Francuzką, ale mój dziadek — tak. A ja kiedyś tu mieszkałam, przez dwa lata, u cici i wujka, w Dziewiętnastej Dzielnicy.

Taksówkarz się roześmiał. Dziś nie wiozł mnie do Dziewiętnastej Dzielnicy, lecz do Szóstej. Dużo bardziej eleganckiej *quartier*. Położonej bliżej centrum. *Mademoiselle* pięła się w górę!

Mknęliśmy szybko obwodnicą wokół miasta. Zjechaliśmy właśnie z pierwszej obwodnicy, gdy na światłach jakiś samochód stuknął od tyłu moją taksówkę. Zapamiętałam szok, pisk opon, przekleństwa.

A więc mama miała rację; ogarnęła mnie dziwna radość wobec takiego dowodu słuszności jej teorii o względności zagrożenia. Pomińłam fakt, że, zdaniem mamy, powinnam była pojechać metrem, bo to i tańsze, i bezpieczniejsze. Chciałam, aby kierowca odegrał rolę mojego osobistego pasterza, wprowadzającego mnie w nowe życie, nawet jeśli musiałam za to zapłacić.

To była moja chwila w blasku słońca. Co z tego, że trochę mżyło? To, czego wkrótce doświadczę, wszystko odmieni.

Taksówkarz walnął pięścią w kierownicę, krzycząc: *merde!*, a ja polecałam na jego zagłówek.

— *Ça va!* — spytał, masując własne czoło. — Nic ci nie jest?

Nie, nic mi nie było. Czekałam na chodniku podmiejskiej dzielnicy, aż dogada się z kobietą, która w nas wjechała.

Staliśmy przy kiosku z gazetami. Zapomniałam, że tutaj kioski są zielone i mają kształt stożka, gazety są zadrukowane gęstszą czcionką niż u nas, a w kiosku można kupić lizaki Chupa Chups i gumę Hollywood, a także magazyn zatytułowany „Figaro Madame”. Zapomniałam, że gwiazdą muzyki pop jest Johnny Hallyday, z reklam kawy i czekolady emanuje erotyzm, niewielkich rozmiarów plakaty zapraszają na koncerty muzyki kameralnej do Sainte Chapelle, a na ulicach trzeba uważać na psie kupy. Teraz te wszystkie wspomnienia zaczęły do mnie wracać.

Kiedy tak przyglądałam się znajomym lizakom i okładkom magazynów, zobaczyłam, że ich barwy i znaczenia zaczynają układać

się w linie, mają kształt. Wyjęłam z torby szkicownik i ołówek, przysłuchując się jednym uchem rozmowie kierowcy i winnej całego zamieszania kobiety. Kierowca spisał jej dane. Kobieta zapaliła papierosa.

Czułam, że rozmowa ma się ku końcowi, więc nie zaczęłam rysować. Zbyt wiele miałam do naszkicowania w tak krótkim czasie, a nie lubiłam uproszczeń i sztuczek. Byłam bardzo dobra w odtwarzaniu wszystkiego, co widziałam, ale tylko wtedy, gdy miałam mnóstwo czasu. Jeśli nie mogłam zrobić tego dobrze, wołałam poprzestać na obserwacji. Wsunęłam szkicownik do torby.

Mżawka zelżała, ustępując miejsca szarej mgie, którą tak dobrze pamiętałam, a o której nie myślałam przez wiele lat.

W Niemczech miał wkrótce upaść mur berliński. Zdjęcie na pierwszej stronie „Le Monde” ukazywało grupę rockową w trakcie koncertu, naprzeciw wielkiego jaskrawego graffiti, wymalowanego po zachodniej stronie muru. Przyjrzałam się tłumom uchwyconym na zdjęciu. Ludzie, nie licząc fotografów stojących nieruchomo z błyskającymi fleszami, tańczyli w ekstazie, czekając na upadek muru.

Przyjrzałam się uważnie zdjęciu, poszukując twarzy mojej nowej szefowej, Lydii Schell, dla której od dziś miałam pracować. Lydia była znanym fotografem. Mama nigdy o niej nie słyszała, ale była pod wrażeniem, gdy dowiedziałam jej, że Lydia Schell jest bardzo ceniona. Cieszyła się, że mogę zostać paryskim impresario osoby o tak znanym nazwisku. „Impresario” było wyrażeniem mojej mamy. Kiedy spotkałam się z Lydią w jej domu na Manhattanie na rozmowę w sprawie pracy, ona sama określiła mnie jako swoją przyszłą asystentkę.

Teraz Lydia była w Niemczech, gdzie starała się uchwycić w kadrze niezwykle wydarzenia. Mogła znaleźć się w tym tłumie i zerknąć na mnie przez obiektyw aparatu, nieprawdaż?

— Udało ci się — powiedziałaaby, gdybym ją zauważyła. — *Bienvenue!*

Rozdział drugi

Moja nieco poturbowana taksówka zatrzymała się na pięknej ulicy biegnącej w stronę Ogrodu Luksemburskiego, gdzie kamienice ustępowały miejsca zielonym ogrodom. Szósta Dzielnica. Tu nawet dym z papierosa unoszący się nad głowami zadbanych mieszkańców tworzył aksamitne zawijasy, w niczym nieprzypominające trujących oparów, które zapamiętałam z dzieciństwa. Ten papierosowy dym i stukot obcasów na tutejszych chodnikach nijak się miał do wyziewów samochodowych i dźwięków dochodzących z ulicy pod domem wujostwa, które zajmowało wówczas jedno z mieszkań socjalnych. Jakie to były dźwięki? Nie pamiętałam. Tłumił je teraz luksusowy odgłos zwiększającego obroty silnika citroena, łagodny szelest liści pobliskich drzew, zmysłowy oddech palącej papierosa drobnej kobiety w butach od Chanel na niebotycznie wysokich obcasach, co nawet ja zauważyłam, i w marynarce o tak szerokich wszytych w ramiona poduszkach, że mogły złagodzić każde uderzenie.

Taksówka odjechała. Stałam z walizką pod numerem sześćdziesiątym, powoli zapominając o wygórowanej opłacie za przejazd. Spoglądając na moją nową ulicę, powtarzałam w myślach kod do budynku, 67FS, który będę musiała wprowadzić, by otworzyć drzwi prowadzące na wewnętrzny dziedziniec, „ukryty klejnot”, zdaniem Lydii, „choć mój mąż Clarence narzeka, że jest ciemny i ponury”. Już miałam nacisnąć przyciski otwierające te magiczne wrota, gdy drzwi same się otworzyły.

— *Ah, c'est mademoiselle Katherine?*

— *Madame Fidelio.* Poznaję panią ze zdjęcia!

To była prawda. Rozpoznałam twarz po silnie zarysowanych łukach

brwiowych ze zdjęcia Lydii. Pulchność wcale nie łagodziła posągowych rysów. Znałam tę głowę, te imponujące brwi. Pochodząca z Portugalii dozorczyni była zaufaną osobą, która pomagała również Lydii w domu.

— To pani, prawda?

— Tak, miło mi panią poznać, *mademoiselle*. — Uśmiechnęła się, lecz w jej oczach czaiła się podejrzliwość.

Czy okażę się dziwką, jak wiele innych asystentek *madame*? Czy tego właśnie usiłowała się dowiedzieć, studiując uważnie moje kasztanowe włosy związane w koński ogon, usta pomalowane jasnoróżowym błyszczkiem, džinsy, getry i postrzępiony T-shirt zsunięty tak, by odsłaniał jedno ramię?

Chciałam jej powiedzieć, że nie ma powodu do zmartwień. Byłam poważną młodą kobietą, która nie mogła sobie pozwolić na brak ostrożności. Potrzebowałam tej pracy. W dalszym ciągu nie wiedziałam, na czym ma polegać, ale cokolwiek Lydia miała na myśli, mówiąc o „wszystkim po trochu”, stanie się to moją misją, ponieważ Lydia stanowiła pierwszy stopień na drodze ku mojej prawdziwej przyszłości. Nie zamierzałam przysparzać kłopotów, przyprowadzać nieznajomych mężczyzn do mojej służbówki ani przystępować do pracy na kacu. Nie mogłam zmarnować nadchodzących miesięcy. Na to mogły sobie pozwolić inne dziewczyny, znajdujące się w lepszej sytuacji. Ja traktowałam to poważnie, *madame* Fidelio.

— Mówisz bez akcentu. — Ton jej głosu oscylował między niedowierzaniem a podziwem.

— W dzieciństwie mieszkałam przez jakiś czas w Paryżu. U wujostwa. To rodzina taty. Mój dziadek przyjechał z Francji do Ameryki, ale jego brat został tu, a tata bardzo lubił jego dzieci. Zresztą to byli jego jedyni bliscy krewni. Mieszkałam tu z nimi przez dwa lata.

— Na pewno bardzo się cieszą z twojego przyjazdu, prawda?

— Wyjechali z Paryża po przejściu na emeryturę. Byli nauczycielami. Zostali oddelegowani do paryskiej szkoły, ale zawsze chcieli wrócić do Orleanu. Będę musiała tam pojechać i ich odwiedzić.

— To ważne, żeby znać swoje korzenie i utrzymywać więzi rodzinne. Co roku w sierpniu odwiedzam z mężem rodzinę w Portugalii.

Patrzyłam, jak *madame* Fidelio, mówiąc te słowa, kiwa głową ze zrozumieniem, i nagle ogarnęła mnie nostalgia. Z powodu wujka i cioci. Jako dziecko nigdy nie rozmyślałam o tym, że Solange i Jacques zaciskali pasa i oszczędzali, aby kiedyś na emeryturze wybudować

mały domek na przedmieściach swojego rodzinnego miasta, choć w Paryżu pracowali czterdzieści lat. Tak po prostu było i już. Ale teraz uderzyła mnie niezwykłość tej sytuacji. Mieli klarowną wizję przyszłości, która kierowała ich każdym młodzieńczym krokiem. Wiedzieli, że kiedyś wrócą do domu, a ich życie zatoczy koło.

Sądziłam, że *madame* Fidelio zacznie więcej opowiadać o sobie, być może wspomni, że w przyszłości zamierza wrócić w rodzinne strony, lecz ona powiedziała tylko, że jestem ładniejsza od mojej poprzedniczki, a mój francuski jest *impressionnant*.

Odczułam ulgę. A także wdzięczność wobec cioci i wujka za ich cierpliwą naukę. Kiedy Lydia przyjedzie, dowie się od swej wiernej dozorczyni, że w Nowym Jorku nie skłamałam, że mówię biegle po francusku, a wówczas nabierze do mnie większego zaufania.

Ale jeszcze większe wrażenie zrobiło na mnie to, że zaimponowałam imponującej *madame* Fidelio. To znaczy, że naprawdę jestem kimś.

Madame Fidelio spojrzała na mnie z uśmiechem.

Jej oczy przenikały mnie na wskroś.

— Nie wiem, czy młody *monsieur* już się obudził — powiedziała.

— Może lepiej nie dzwońmy do drzwi. Mam klucz do mieszkania. *Allons*.

Dopiero po kilku sekundach, gdy przechodziłyśmy przez wewnętrzny dziedziniec w stronę znajdujących się w głębi schodów, uświadomiłam sobie, że ten „młody *monsieur*” to zapewne Olivier, chłopak młodszej ode mnie o kilka lat córki Lydie, Portii. Wiedziałam, że Olivier wyrusza dziś w ostatni odcinek swej podróży po Europie, lecz wcześniej miał pokazać mi mieszkanie. Ściszony, nabożny ton głosu *madame* Fidelio sugerował, że Olivier jest prawdziwym księciem.

— Lubi późno wstawać? — Choć do tej chwili nie pamiętałam nawet o jego istnieniu, nagle moja ciekawość wzrosła.

— Aż nazbyt często. Sądzę, że ma wiele *soucis*. Ale jest *charmant*.

— *Ah, bon*. — Jakie *soucis*? Co to za kłopoty?

Idąc przez dziedziniec, zrozumiałam, dlaczego Lydia powiedziała, że jest prawdziwym klejnotem. Wyłożone kocimi łbami patio, na którym w dekoracyjnych donicach rosły wypielęgowane drzewka, zdobiły dostojne drzwi i wysokie okna, strzelające w górę ze wszystkich stron. Wewnętrzne ściany kamienicy były niczym aksamitna wyściółka tego puzderka, znanego jedynie właścicielom i ich gościom. Przeszedł mnie dreszcz, jakbym doświadczyła inicjacji. Zrozumiałam również,

o co chodzi Clarence'owi. Promienie słońca prawie tu nie docierały. W istocie było tu dość ciemno i trochę przygnębiająco.

Mieszkanie znajdowało się na parterze. Gdy *madame* Fidelio przekreśliła klucz w zamku, zobaczyłam jej stanowczy, choć niepozbawiony pewnej czułości wyraz twarzy, ten sam co na ostatniej stronicy najnowszego albumu Lydii, zatytułowanego *Parisians*. Album, w którym znajdowały się same portrety, zaczynał się od zdjęcia słynnego krytyka literackiego Jacques'a Derridy siedzącego w szlafroku przed filiżanką kawy przy białym plastikowym stole w swoim podmiejskim ogrodzie, a kończył portretem tej właśnie portugalskiej dozorczyńi. Album został skrytykowany. Pisano, że Lydia straciła wigor i wyrazistość. *Parisians* stanowił mieszkankę publikacji w stylu „Who's who” z *noblesse oblige*. Ale sprzedał się lepiej niż jakiegokolwiek inne jej prace.

Weszliśmy do holu pomalowanego na kolor, który można by nazwać bakłażanowym. Malowanie wstrzymano chyba nagle, bo na kremowym tynku wyraźnie widać było purpurowy ślad po ostatnim zamaszystym pociągnięciu pędzlem.

Madame Fidelio cmoknęła z dezaprobatą na widok ścian.

— Biedna *madame Lydia* — powiedziała tajemniczo. Potem zamachała ręką, każąc mi iść za sobą długim, pokrytym boazerią korytarzem z licznymi drzwiami, z których jedno były zamknięte, a inne uchylone, tak że przechodząc, mogłam coś dojrzeć... kawałek tkaniny, wzór na chodniku, połysk lustra.

Tylko jedno drzwi były szeroko otwarte. Zobaczyłam niepościelone podwójne łóżko z błękitnymi falbanami z tego samego materiału co zasłony. Nie widziałam, czy tkanina była w małe kwiatki, czy jakieś figurki, ale coś się na tym materiale działo, coś delikatnego i bardzo skomplikowanego. Stała tam również toaletka zastawiona buteleczkami i koszyczkami.

— To pokój *la jolie petite*.

La jolie petite to zapewne Portia. Przypomniałam sobie zdjęcie drobnej jasnowłosej dziewczyny w ramce z czerwonej skóry, stojące w jadalni zagraconego domu w Greenwich Village. Zastanawiając się, jakimi epitetami określiłaby mnie *madame* Fidelio, starałam się przejść korytarzem lekkim krokiem dziewczyny przywykłej do falbaniastych, dopasowanych do zasłon narzut. Dziewczyny, która ma na przykład toaletkę.

Kawałek dalej korytarz się rozwidłał. Za tamtymi drzwiami po prawej znajduje się gabinet *Monsieur Clarence'a*, wyjaśniła *madame Fidelio*. Skręciliśmy w lewo do kuchni, która na pierwszy rzut oka była wyposażona bardziej skąpo niż nowojorska kuchnia Lydii. Sprzęty gospodarstwa domowego były tu białe, a nie ze stali nierdzewnej, i wszystkie wydawały się o połowę mniejsze.

Na ścianie wisiały oprawione okładki magazynów ze zdjęciami Lydii. Była wśród nich okładka „Rolling Stone” z Jimem Morrisonem, a także ta z Yoko Ono w Central Parku z polnym kwiatem w dłoni. Oraz okładka „Time’a” z Nelsonem Mandelą. I okładka magazynu „Life” ze zdjęciem, które przedstawiało chyba marsz na Waszyngton. Martin Luther King szedł w morzu transparentów. „Prawa wyborcze od zaraz!”, „Koniec z segregacją w szkołach publicznych!”. Marsz na Waszyngton odbył się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku. Lydia musiała być w moim wieku, kiedy zrobiła to zdjęcie. Zastanawiałam się, czy czuła się wówczas młodo.

— *Ah, monsieur!* — *Madame Fidelio* uśmiechnęła się z uznaniem, jak kobieta, która docenia urok mężczyzny.

Młody *monsieur* siedział przy kuchennym stole. Był potargany, a wokół niego unosił się zapach ciepłego świeżego pieczywa z *boulangeries*, które pamiętałam z dzieciństwa.

Musiał niedawno wstać z tego miękkiego, wzburzonego łóża, na które rzuciłam okiem z przedpokoju, łóżka Portii. Choć nie patrzyłam wprost na niego, od razu wiedziałam, że jest najbardziej atrakcyjną osobą, jaką kiedykolwiek widziałam. Był smukły i gibki. Jego zmierzwione włosy wiły się, rozświetlając wymuskaną twarz, miodowe oczy i kości policzkowe, których kształt i miękkość przywodziły na myśl kocie łapy.

— *Bonjour, madame Fidelio.* — Olivier mówił z amerykańskim akcentem.

Na jego twarzy pojawił się na krótko wyraz niezadowolenia, zapewne z powodu zakłócenia jego prywatności, tych ostatnich chwil, które mógł spędzić w samotności. Gdy jednak jego wzrok spoczął na mnie, wyraz niezadowolenia szybko znikł, a ja, widząc, że zirytowanie ustępuje, poczułam się podbudowana i ogarnęło mnie takie uniesienie, jakby spadło na mnie błogosławieństwo lub oświeciły promień słońca.

— Domyślam się, że to ty jesteś Kate. Ja jestem Olivier.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam tak wcześnie rano. —

Dochodziła dziesiąta. — Lydia powiedziała, że wyjeżdżasz dziś do Włoch. Na pewno masz sporo pracy.

— Wyjeżdżam jutro — sprostował z uśmiechem. — Dopiero juro rano mam samolot do Wenecji. A za kilka tygodni wrócę po moje rzeczy i dopiero wtedy na dobre stąd wyjadę. Tak że jestem wyluzowany. — Odgarnął z oczu pukiel brązowych włosów i znów na mnie spojrzał. Potem wstał i nastawił czajnik. — Herbaty? *Madame Fidelio*? Kate?

Madame Fidelio powiedziała, że nas zostawi. Oto mój klucz do głównego mieszkania. A tu leży klucz do służbówki na szóstym piętrze, gdzie mam mieszkać. Ale nie dostanę się tam tymi schodami. Muszę użyć schodów dla służby. *Monsieur* pokaże *mademoiselle* drogę, jeśli można.

— Nie ma problemu, *madame Fidelio* — odparł.

— Bardzo dziękuję, *madame!* — dodałam. — To miło z pani strony, że mi pani pomogła.

— Miłego dnia, kochani.

Wszyscy troje uśmiechnęliśmy się do siebie z pobłażaniem. Znów ogarnęła mnie duma, bo miałam wrażenie, że zrobiłam na królewskiej *madame Fidelio* naprawdę dobre wrażenie. Przekroczyłam pierwsze wrota.

— Z czym pijesz herbatę? — spytał Olivier, gdy zostaliśmy sami.

— Z mlekiem, o ile to możliwe.

Wyjął z małej lodówki mleko w kartonie.

Lodówka moich francuskich krewnych była jeszcze mniejsza, bez szuflad, i nie działała w niej lampka. Ale wspomnienie leżących tam opakowań z produktami spożywczymi zapadło mi głęboko w pamięć, a karton z mlekiem w szczupłej dłoni Oliviera na nowo je wskrzesił. Było to mleko *longue conservation*, które wszyscy tu pili. Mogło stać w kartonie całymi miesiącami, dopóki było zamknięte. Miało chemiczny zapach, który przyprawiał mnie o mdłości. Nienawidziłam go. Nigdy nie powiedziałam o tym mamie, bo miała wtedy ważniejsze sprawy na głowie, ale mleko było tu naprawdę okropne.

— Na targu spożywczym przy Boulevard Raspail kupiłem miód. Chcesz trochę do herbaty?

Zapomniałam, że lubiłam miód. Nagle nabrałam na niego ogromnej ochoty.

— Oczywiście. Chętnie wypiję z miodem. Nigdy nie byłam na tym

targu przy Raspail. Czy rzeczywiście jest taki wspaniały? Od dziesięciu lat nie byłam w Paryżu.

— Skąd masz taki akcent? Kiedy rozmawiałaś z *madame* Fidelio, miałem wrażenie, że jesteś paryżanką.

Powtórzyłam wyćwiczoną kwestię:

— Ucząc się francuskiego, byłam chyba w idealnym wieku. Mieszkałam tu między dziewiątym a jedenastym rokiem życia. Byłam wystarczająco mała, żeby przyswoić akcent i nauczyć się wymowy, ale zarazem miałam już tyle lat, że mogłam zrozumieć i zapamiętać ten język.

— Nie. Musisz mieć do tego talent. Przyjeżdżam tu od lat, a mój akcent, podobnie jak akcent mojej mamy, jest fatalny.

— Nie sędzę.

Zaśmiał się uprzejmie.

— Wobec tego powinnaś spędzić ze mną więcej czasu.

Nabrałam dość odwagi, by spojrzeć mu w oczy.

— A zatem jesteś świeżo po długim locie — powiedział w taki sposób, że ta świeżość zabrzmiała niczym zaleta jakiegoś kwiatu albo jabłka. — Lydia mówiła, że malujesz. Czy jest w Paryżu coś, co szczególnie chciałabyś dziś zobaczyć? Jakaś wystawa czy coś takiego?

— Mnie powiedziała, że odlatujesz za kilka godzin i pokażesz mi tylko, jak się włącza alarm, gdzie jest pralka i takie tam rzeczy.

Powiedziała mi również, że jesteś czarujący.

— Ale wyjeżdżam dopiero jutro. Uwielbiam Lydię, lecz ona ma tyle na głowie. Trudno oczekiwać, żeby o wszystkim pamiętała. Mam cały dzień. Chciałem się trochę przespacerować. Muszę coś odebrać w Szesnastej Dzielnicy. Pomyślałem, że wybiorę się później do muzeum Marmottan. Wiesz, tam gdzie wiszą te wszystkie lilie wodne Moneta. Tym razem jeszcze tam nie byłem. Wiem, że to niezbyt modne ani współczesne miejsce, ale jestem trochę nostalgiczny. — Westchnął. — Wkrótce zacznę pracę w Nowym Jorku. Bankowość inwestycyjna. W najbliższej przyszłości nie znajdę pewnie czasu na uprawianie flaneryzmu. Jestem otwarty. A co ty masz ochotę robić?

— Moglibyśmy zjeść croissanta?

Rozdział trzeci

W *pâtisserie* na rogu ulicy Olivier spytał, na co mam ochotę. Poprosiłam o zwykłego croissanta.

Kupił rogalika i zamówił *pain au chocolat* i *pain aux raisins* dla siebie.

Spacerem doszliśmy do Siódmej Dzielnicy. Na rue du Bac minęliśmy luksusowe delikatesy Hédiard, a ja uśmiechnęłam się, zaglądając do środka, bo hasło Hédiard w domu moich krewnych stanowiło specyficzny żart. Kiedy Étienne i Jacques nie chcieli dokładki potrawy ugotowanej przez Solange, ona odpowiadała: „Jeśli nie dość wam smakuje, zmieńcie restaurację. Idźcie do Hédiarda”.

Zastanawiałam się teraz, czy Solange wiedziała, że Hédiard nie był restauracją, lecz słynnym sklepem z witrzynami w stylu art nouveau, w których piętrzyły się piramidy owoców i ciastek na tle kuszących serów i egzotycznych herbat w pomalowanych czerwonym lakierem szufladach. Lecz gdy mijaliśmy wystawę, mój wzrok przykuła srebrna taca z croissantami z kremem kasztanowym. Uwielbiałam kasztany i wyobrażałam sobie, że taki krem musi być czymś niebiańskim. Te kasztanowe croissanty posypane cukrem pudrem zrobiły na mnie wrażenie najbardziej wykwintnej rzeczy, jaką mogłabym zjeść, ale nie żałowałam, że teraz nie mam w rękę takiego rogalika. Zostało mi jeszcze pół zwykłego, którego kupił mi Olivier, a poza tym wiedziałam, że odtąd w każdej chwili będę mogła pójść spacerem do Hédiarda. Przecież teraz mieszkalam niedaleko.

Ten brak pożądania odkrytego dziś skarbu był tak znaczący, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie stałam się kimś innym. Tak często bywałam zdeterminowana tym, czego nie mogłam akurat mieć.

Olivier wyminął mnie i wszedł do Hédiarda. Miałam już za nim

ruszyć, ale dał mi znak, żebym poczekała. Po chwili wyłonił się z dwoma kasztanowymi croissantami.

— Drugie śniadanie — powiedział, puszczając do mnie oko.



Kiedy doszliśmy do Sekwany, zapatrzyłam się na Grande Roue, koło Ferrisa, czyli wielkie koło widokowe, które kilka razy do roku staje w ogrodzie Tuileries.

Olivier zauważył, że się w nie wpatruję.

— Też chciałabyś wsiąść, prawda? To wspaniała okazja, żeby złapać orientację w terenie, jeśli dawno nie byłeś w mieście. Chodźmy.

Mieliśmy całą gondolę tylko dla siebie. Siedzieliśmy na metalowych krzesłach, a nasze kolana ocierały się o siebie. Ilekroć koło się zatrzymywało, wpadaliśmy na siebie, udając, że to nic, i kryjąc zmieszanie nadmierną paplaniną.

Po przejażdżce kręciło nam się w głowach. Szliśmy w ciszy wzdłuż prawego brzegu, całą drogę aż do Szesnastej Dzielnicy, gdzie odebraliśmy małą papierową torebkę — dla Lydii, jak wyjaśnił Olivier.

— Całkiem dobrze mi się z nią układa — wyjąwił. — Ale Lydia jest skomplikowana. Podobnie jak cała rodzina. Wkraczasz w dość interesującym momencie. Mam nadzieję, że brałeś witaminy.

Pragnęłam dowiedzieć się więcej o Lydii i jej tajemniczej rodzinie, ale chciałam też zapomnieć, że chłopak, który siedział teraz naprzeciw mnie przy stoliku w kawiarni, popijając belgijskie piwo i przyciągając spojrzenia wszystkich gości, w pewien sposób do niej należy.

Przypomniałam mu, że wspominał o muzeum Marmottan, gdzie chciał obejrzyć Monety.

— Na pewno chcesz tam iść? — spytał.

— Bardzo.

— To nie zabrzmiało zbyt przekonująco. — Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, czego rzadko doświadczałam. — Mówisz tak przez grzeczność?

— Ależ skąd. Impresjoniści robią na mnie dziwne wrażenie. Nie mam jeszcze własnego stylu, więc można powiedzieć, że jestem dość ostrożna, a zarazem pod wrażeniem. — Zaśmiałam się niezbyt przekonująco. — Ale chciałabym się tam wybrać. Lubię oglądać oryginalne obrazy. Widziałam już tyle reprodukcji.

— Nie możesz nie mieć własnego stylu.

— To tak jak z lustrami. Nie mają stylu, prawda?

— Jesteś zabawna. — Uśmiechnął się, sprawiając, że moja śmieszność stała się godną podziwu zaletą, stylem samym w sobie.

Powiedział, że kiedy był dzieckiem, mama zabierała go do muzeum Marmottan, ilekroć znaleźli się w Paryżu. Najbardziej lubiła właśnie to muzeum — małe i perfekcyjne, prawdziwa perełka. W trakcie każdej wizyty w Paryżu przychodzili tu przynajmniej raz.

— Mama uwielbia to miejsce i obrazy, a ostatnio nie może już tak często podróżować. Jej sytuacja życiowa uległa zmianie. Mam nadzieję, że gdy zacznę pracę, będzie mnie stać na to, żeby ją tu przywozić. W każdym razie jej ulubione obrazy to cykl nenufarów z kładkami przerzuconymi nad taflą wody. Myślę, że zrozumiesz, dlaczego tak się jej podobają.

Gdy szliśmy rue de Passy, a potem przez filigranowy park, oczy Oliviera lśniły, jak przypuszczałam, za sprawą wspomnień.

— A jacy są twoi rodzice? — spytał.

— Mój tata zmarł, kiedy miałam jedenaście lat. Gdy mieszkałam w Paryżu. Przez cały czas, umierając na raka, pisał do mnie w listach, że czuje się bardzo szczęśliwy, że tu jestem i mieszkam z wujkiem Jacques'em, jego kuzynem, którego uwielbiał, i uczyć się francuskiego. Nigdy nie opanował płynnie tego języka. Jego ojciec nie mówił do niego po francusku. Pewnie chciał, żeby syn zaadaptował się w Ameryce. I tata uważał, że jeśli ja opanuję ten język, to moje życie będzie w jakiś sposób pełniejsze.

— Pewnie za nim tęsknisz.

— Myślę o nim przez cały czas. Staram się odgadnąć, co by powiedział, gdyby mnie zobaczył, zwłaszcza w tym miejscu.

— Tak mi przykro.

Pokręciłam głową.

— To nic takiego.

— Wychowywała cię mama? To znaczy później?

— W zasadzie tak. O mojej mamie każdy by chyba powiedział, że jest cudowna. To znaczy, jej życie powinno wyglądać zupełnie inaczej. Kiedy brali ślub, tata był dobrze zapowiadającym się reżyserem. Mama spodziewała się pewnie, że będzie prowadziła ciekawe i barwne życie, a tymczasem, gdy zachorował, musiała się nim opiekować, a potem przyjęła pracę sekretarki w firmie prawniczej; co prawda pełniła funkcję kierownika biura, ale nie była to wymarzona praca, a mogła

przecież zrobić ze swoim życiem coś naprawdę ciekawego. Przez te wszystkie lata harowała, żeby posłać mnie do dobrych szkół, i jest ze mnie dumna. Odkąd wróciłam do domu z Francji, byłyśmy tylko we dwie. Pozwala mi na różne rzeczy, przez co wydaje się bardzo liberalną matką, na przykład na ten przyjazd do Paryża, do pracy u Lydii, bo wierzy, że tylko dzięki odpowiedniemu wykształceniu można coś w życiu osiągnąć. Uważa, że powinnam zostać prawnikiem w korporacji. Ma na tym punkcie obsesję, bo nade wszystko pragnie, żebym była zabezpieczona, i wie, że pod tym względem można polegać wyłącznie na samym sobie. A ja czuję się okropnie, bo nie chcę być prawnikiem. Naprawdę nie chcę. Zupełnie nie potrafię myśleć w taki sposób. To znaczy logicznie. Nie myślę logicznie. To by było dla mnie prawdziwą torturą.

Nagle poczułam się zażenowana. Czy przez cały ten czas wygłaszałam monolog? Czy byłam nielojalna wobec mamy? Naprawdę?

— Wiesz, Kate, dopiero cię poznałem, ale mam wrażenie, że tyle sobą reprezentujesz. Może nie stać cię na taki luksus, żeby od razu zanurzyć się w swoje marzenia. Prawie nikogo na to nie stać. Dużo o tym myślałem. Nie każdy może zrobić wszystko w idealnej kolejności. Dzieci z zamożnych rodzin nie stają przed takimi dylematami.

Przypuszczałam, że on również marzył o wolności, jaką daje przynależność do klasy wyższej, i zaczęłam zazdrościć Portii, ale nie trwało to długo, bo Olivier zaraz powiedział:

— Czasem zamieniają się w takich hedonistów, że stają się słabi. Portia i Joshua mają swoje zalety, ale są niesamowicie rozpuszczeni. Oni po prostu nie są tak wychowani jak my.

Na wzmiankę o Joshui zaczęłam sobie przypominać, że Portia ma dość problematycznego młodszego brata. Poczułam przypływ emocji na myśl, ile jeszcze muszę się dowiedzieć.



Staliśmy w sali pełnej wielobarwnych impresji mostków czy też kładek w japońskim ogrodzie Moneta w Giverny. Olivier wytłumaczył mi, że — jak powiedziała mu kiedyś mama — nie sposób zobaczyć, że to mostek, patrząc tylko na jeden z tych obrazów. Cykl widoków musi nałożyć się na siebie w twojej głowie i dopiero wtedy widzisz prawdziwy obraz.

— Rozumiem, co miała na myśli — odparłam. — To piękny trik.

Udawać, że się nie wie, co one przedstawiają, i chodzić, podziwiając obrazy, aż most sam się wyłoni i stanie ci przed oczami.

Te obrazy były wspaniałe, ale nie czułam się tu dobrze. Choć przeszły już do klasyki malarstwa, wymagały ogromnego aktu wiary, bo przedstawiały światło zamiast konturów, pozwalając, by malowany obiekt sam wyłonił się na magiczną powierzchnię. Byłam pewna, że nigdy nie mogłabym czegoś takiego wykonać. Byłam zbyt dosłowna. Kochałam Monety, ale nie darzyłam ich zbyt dużym zaufaniem.



W pobliskiej kawiarni, gdzie Olivier zaprosił mnie na najmniejsze i najdroższe zarazem tartinki pomidorowe, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się jeść, dowiedziałam się wreszcie, co znajduje się w torebce, którą odebrał na prośbę Lydii.

— Pigułki z ekstraktem z papai zmieszany zapewne z nasionami. Dostaje je od swojego dietetycznego guru.

— A dlaczego ty odbierasz te pigułki?

— Lydia lubi angażować osoby, które uważa za bliskie, w swoje sprawunki. Podchodzi do tego uczuciowo. Nigdy nie poprosiła by Clarence’a, bo czułaby się przez niego osądzana, ale na pewno będzie chciała, żebyś ty robiła dla niej takie rzeczy. Zaczyna od tego, że prosi, żebyś coś odebrała, nie mówiąc, co to jest. Prędzej czy później wygada się jednak i ci powie. Nie potrafi utrzymać tajemnicy, ale panuje nad swoim czasem i dobrze wybiera odpowiednią chwilę.

— Możliwe, że dlatego jest tak dobrą artystką.

— Tak. Musisz o tym pamiętać, gdy najdzie cię ochota do strojenia z niej żartów, kiedy po całym dniu objadania się bagietkami i serem wyśle cię po te cholerne pigułki. We wszystkim, co robi, jest niesamowita.



Ruszyliśmy w drogę powrotną przez most na Sekwanie do Szóstej Dzielnicy. Zatrzymaliśmy się w Ogrodzie Rzeźb Rodina, gdzie usiedliśmy na ławce, obserwując dzieci karmiące kaczki w cieniu Balzaca.

Spytałam go o sygnet, który miał na palcu.

Był to *chevalière* z herbem, pochodzący od rodziny ze strony jego matki. Nosił go ze względu na nią.

— Czy ten zamek to twój dawno utracony *château* położony gdzieś daleko w Dordogne?

— Nad Loarą, skoro pytasz. — Zaśmiał się. — Ale masz rację, zamek dawno przepadł. Ziemia również. Została sprzedana, kiedy mama była dzieckiem. Pozostało jedynie „de” przed nazwiskiem. Nazywam się Olivier de Branche Craft.

Nagle między posągami w tym czcigodnym ogrodzie poczułam niezwykłą lekkość. Pośród tych ponętnych kamieni, które rwały się do życia, ogarnęło mnie, ot tak, niezwykle ożywienie. Głupia radość, jaką dało mi to uczucie, była wszechogarniająca.

Zerknęłam ukradkiem na Oliviera. Poczułam, że coś chwytą mnie za gardło. Musiałam się odezwać, żeby sprawdzić, czy w dalszym ciągu mogę mówić.

— Olivier de Branche — powiedziałam, kładąc nacisk na ten przedrostek i dotykając złotego sygnetu. — Może któregoś dnia odbudujesz dla swej mamy tamten *château*.

— Jesteś słodka, ale raczej wybrałbym mały apartament w Szóstej Dzielnicy.

Cofnęłam dłoń i położyłam ją na swoim kolanie.



Po powrocie do mieszkania usiedliśmy w pomalowanym do połowy salonie, popijając białe wino Lydii zmieszane z likierem *crème de pêche*, czyli brzoskwinowy kir, pomysł, który Olivier zaczerpnął od niej w zeszłym miesiącu. Przez całe lato podróżował po Europie, większość czasu bez Portii, która, jak zrozumiałam, odbywała staż w poświęconym modzie nowojorskim magazynie, a teraz miała rozpocząć przedostatni rok studiów. Chciałam ją sobie wyobrazić i zarazem wymazać jej istnienie z pamięci. W rezultacie Portia jawiła mi się zamglona niczym zatopiona królowna albo zastygła w bezruchu dziewczyna z ilustrowanego magazynu.

Kiedy tak siedzieliśmy w salonie państwa Schellów, otoczeni ich meblami i bibelotami, nasza relacja znów stała się bardziej oficjalna, a rozmowa poważniejsza. Usiłowałam ignorować fakt, że każde wypowiedziane przez Oliviera słowo wywoływało lekkie wibracje między moimi nogami.

— Dobrze nam się tu mieszkało z Lydią. Dzięki niej nabrałem zwyczaju wypijania około piątej po południu kieliszka białego wina

z crème de pêche.

Spojrzelismy na bogato zdobiony zegar, który został zdjęty ze ściany przez malarzy i stał teraz oparty o otomanę obitą gładkim jak jedwab materiałem w paski. Wystrzępiony kabel biegł od zegara do dziury w ścianie nad kominkiem. Była za kwadrans piąta.

— Zaczęliśmy wcześniej. — Próbowaliśmy się roześmiać.

Muszę zapanować nad sobą i nie pić tak szybko ani nie zadawać tylu pytań. Moja ciekawość tego domu była ogromna, ale musiałam pamiętać, że Olivier jest z tą rodziną niezwykle związany.

Po trzech drinkach na pusty żołądek zaczęło mi się kręcić w głowie. Wstałam z trudem i powiedziałam, że muszę się położyć. Nie byłam nawet w stanie policzyć godzin, które upłynęły od mojego ostatniego snu. Zaczęłam odczuwać skutki długiej podróży samolotem i zmiany stref czasowych.

Może chciałabym zjeść obiad?

— Nie, dziękuję. — Mama nauczyła mnie, że tęsknota za tym, co nieosiągalne, jest stratą czasu.

— Wobec tego do zobaczenia.

Nie mogłam jednak tak po prostu zamknąć za sobą drzwi.

— Może zobaczymy się po twoim powrocie z Włoch, zanim wyjedziesz do Stanów? Zostaniesz w Paryżu dzień lub dwa? — Miałam nadzieję, że mój głos brzmi dość nonszalancko. — Zatrzymasz się tutaj?

— Nie jestem pewien, czy to taki dobry pomysł.

Zaczerwieniłam się.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Mogę jednak nie być w stanie się powstrzymać — powiedział. W jego miodowych oczach zaśniły zielone plamki, gdy pochylił się nade mną, a ja w ostatniej chwili pojęłam, że chce pocałować mnie w oba policzki. Loki, które jeszcze dziś rano były dla mnie tak nowym widokiem, musnęły moją szyję. A potem było po wszystkim.

Chwiejąc się na nogach, zrobiłam krok do tyłu.

— Nie jestem pewny, kiedy dokładnie wrócę — wyszeptał — ale za dwa lub trzy tygodnie znów się zobaczymy.



Gdy tylko dotarłam do mojego niewielkiego lokum, wiedziałam, że jestem zbyt wstawiona i zmęczona, żeby się rozpakować. Odnalazłam

jednak niedojedzoną kanapkę z tuńczykiem z samolotu. Moja pierwsza kolacja w Paryżu, w samotności, z widokiem na morze połyskujących okien. Nie miałam pojęcia, co ja tu właściwie robię. To nie był Paryż Jacques'a i Solange, skrępowany ograniczeniami wynikającymi z poczucia przyzwoitości, gdzie po raz pierwszy odkryłam, że potrafię wiernie odtworzyć rzeczywistość w ilustrowanych listach, które wysyłałam do domu. To było miasto, którego kształty pozostały nieokreślone. Nie wiedziałam, jak będzie wyglądać jutrzejszy dzień, nie licząc tego, że zabraknie w nim jedynej osoby, którą naprawdę chciałabym zobaczyć.

Wmusiłam w siebie ostatni kęs smakującej jak kreda kanapki.

Zastanawiałam się, co Olivier upichciłby dla mnie w kuchni na dole? Coś według przepisu swojej mamy? Czy Lydii?

Za kilka tygodni znów przemknę przez moje życie w drodze powrotnej do Portii, o której przez cały dzień prawie nie wspomnieliśmy. Smukła Portia od falbaniastych narzut i francuskich tkanin z pasterskimi scenkami i motywami roślinnymi. Portia, którą ja nie byłam.